

- *** Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk.
- **** Janusz Staszewski, dr, historyk wojskowości archiwista, W latach 1928-1939 pracował w Archiwum Państwowym w Poznaniu. Zmobilizowany jako podporucznik sztabu, został ciężko ranny w czasie nalotu pod Brześciem n. Bugiem. Zmarł w szpitalu w Wilnie. (Jako datę zgonu przyjęto dzień 28 września 1939 r.)
- ***** Poprawnie Zbyszko Bednorz, członek organizacji konspiracyjnej „Ojczyzna”.
- ***** Chyba chodzi tutaj o angielski dziennik „Daily Mail”.

SŁOWNIK SERDECZNY

Instytut Zachodni, a dokładniej – Redakcja „Przeglądu Zachodniego”, stała się moim miejscem pracy w październiku 1965 r. Miałam wówczas 25 lat, ukończone trzy lata wcześniej studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza i bardzo wątpliwe doświadczenie zawodowe, wynikające z prac zleconych na uczelni i dłuższego zastępstwa na etacie nauczyciela w szkole podstawowej. O Instytucie wiedziałam wówczas niewiele, o obowiązkach redaktorskich jeszcze mniej – była we mnie natomiast natężona ciekawość i determinacja, by gdzieś się przydać i możliwie dużo nauczyć. W Instytucie pozostałam ponad 11 lat. Był to okres kluczowy w mojej zawodowej biografii. Miałam ogromne szczęście, że w tym, jakże pod wieloma względami trudnym czasie, znalazłam się w takim miejscu i wśród takich ludzi. Wystarczyło mieć oczy i uszy otwarte, a każdy dzień przynosił cenny bilans zysków: skokowo poszerzał wiedzę, utrwalał określony system wartości, umacniał przyjaźnie.

Teraz, gdy „Przegląd Zachodni” zyskuje rangę Dostojnego Jubilata, chciałabym przypomnieć osoby z nim związane, te, które najtrwalej zapadły mi w pamięć. Chcę Im dedykować poniższe zapiski, będące zaledwie szkicowymi impresjami, układającymi się w formę, którą nazwałam *Słownikiem serdecznym*. „Materiał” do niego „zbierałam” przed blisko półwieczem. Nie zamierzam niczego korygować, ale winna jestem przypomnienie – między tamtą osobą, po raz pierwszy wkraczającą na poznańskim Rynku do budynku Wagi, a mną dzisiejszą leży prawie całe moje dorosłe życie.

Z licznych przykładów wynika, że pierwszy dzień w nowej pracy pamięta się albo z dokładnością do najmniejszego szczegółu, albo wcale. Należę do tych „innych”, lokujących się pośrodku. Do pewnego momentu prawie nic, potem – olśnienie. A więc tylko mgliście kojarzę, że do Redakcji przyjmował mnie szef Wydawnictwa IZ dr Antoni Władysław Walczak, w nawiązaniu do swych inicjałów funkcjonujący dość powszechnie jako „A-wu-wu”. Zupełnie się nie orientowałam, że moją edukację w „Przeglądzie” zaczynałam w momencie istotnych zmian organizacyjnych działu. Związany dotąd z Agencją Interpress, dr Walczak przychodził na miejsce dra Mieczysława Suchockiego, który po chlubnych latach kierowania wydawnictwami zasiliał teraz grono naukowców. Siedziba Naczelnego (słowo „gabinet” nie miało tu zastosowania) mieściła się wówczas na parterze Wagi. Urzędował w małym pokoiku, przylegającym do równie małego korytarzyka, w zupełnym oderwaniu od pozostałych pomieszczeń redakcyjnych. Te składały się z pokoju redaktora „Przeglądu”

Władysława Tomaszewskiego, który był teraz moim bezpośrednim zwierzchnikiem, oraz tzw. górki, czyli pomieszczeń naszej Korekty, ulokowanej w urokliwej przestrzeni adaptowanej w Wadze ze strychu.

Parterowy pokój, który miałam dzielić z szefem, mieścił dwa biurka, nie posiadał bezpośredniego wejścia (wchodziło się przez pokój pani Całkowej – zob. niżej), ale za to okno wychodzące na Rynek, przez które często zaglądali przechodnie, a my utrzymywaliśmy wzrokowy kontakt ze światem.

Redaktora Tomaszewskiego (wkrótce po prostu Władka) znałam – niestety, tylko jednostronnie – z uczelni, którą kończył chyba trzy lata przede mną. Był tam z wielu powodów rozpoznawalny i niezwykle popularny, także wśród młodszych roczników (głównie płci żeńskiej). Przyczyniło się do tego jego bliskie podobieństwo do wybitnego pianisty Adama Harasiewicza, laureata V Konkursu Chopinowskiego. Ponadto – jako jedyny student polonistyki – nosił wtedy „budrysówkę” (rodzaj wełnianej, długiej kurtki z kapturem, zapinanej na kołeczki ze skóry), taką samą, jak bohaterowie słynnego filmu francuskiego „Przed potopem” Cayette’a. Mówiąc bardziej serio – był wówczas najlepszym studentem, dumą i nadzieją prof. Pollaka (literatura staropolska), a to już była etykieta naprawdę rzucająca na kolana. I oto teraz okazywał się być moim szefem, chyba niezbyt zachwyconym perspektywą wprowadzania zupełnie zielonej „pomocy” w zawilości adiustacji...

Ten pierwszy dzień to także pierwszy maszynopis. Pamiętam tylko, że był to artykuł prof. Józefa Burszty (etnografa), podsumowujący jakieś szczegółowe dociekania. Z mojej strony – całkowita zgroza. Jak w ogóle mogłabym się odnosić do profesorskiego produktu? Rozpaczliwie skupiłam się na przecinkach i modliłam o literówki. Po jakimś czasie Władek pracę przejrzał (neutralna życzliwość z leciutkim powiewem rezygnacji), a potem zaproponował wyprawę na „górkę” – do naszej Korekty, w celu dokonania stosownej prezentacji. No i tam, na poddaszu, opuściło mnie wreszcie uczucie całkowitej niemożności, wyobcowania, przytępienia. Dosłownie: stała się jasność. Bo przez małe okienka wpadało niespodziewanie dużo słońca, bo osoby, którym mnie przedstawiano były mnie ciekawe, bo czuło się, że mimo wszystko, jakoś na mnie liczą.

Tu już wszystko pamiętam bardzo wyraziście. Panią Magdalenę Staszewską (późniejszą p. Madzię) – starszą, godną osobę, jak zawsze, z maszynopisem w rękę, trzymanym wysoko, blisko okularów. Teraz przyglądała mi się dość sceptycznie, ale zarazem jakby pobłażliwie. Pan Mieczysław Au – wysoki i srebrnowłosa (pokoleniowo wyraźnie wyprzedzał panią Madzię) – z uszanowaniem pocałował mnie w rękę i witał życzliwym uśmiechem. Pan Bolesław Witkowski prawie na mnie nie spojrział, ale mruknął coś zachęcająco, że pracy starczy dla wszystkich. Przysięgåłabym, że miał zarękawki. I tak zrobił dla mnie wyjątek, bo na ogół nie odrywał się od tekstu. Próbowałam jakoś znaleźć się w sytuacji; odpowiadałam na pytania, Władek wyraźnie mnie wspierał... I wtedy otworzyły się drzwi, i – weszła p. Monika Dziamowska. Piękna kobieta o samych oczach. Wraciała z miasta; niosła jakieś zakupy i wielki bukiet żółtych kwiatów. Słyszając, że jestem „tą nową”, takim serdecznym gestem oddała mi całe naręczce i życzyła, by było mi w „Przełądzie” jak najlepiej. Tak oto znalazłam się w zespole.

Po tym pierwszym dniu nastąpiły kolejne i znów następne, a wraz z nimi stopniowe wrastanie w instytutową codzienność. Generalnie, owe czasy w „Przełądzie” dzielą się w mej pamięci według kryterium związanego z miejscem akcji, a więc na „czas Wagi” i „czas domków budniczych”.

Waga to nade wszystko początki mej edukacji, ale także pierwsze nazwiska do mojego „słownika”. A zatem najpierw dr Antoni Władysław Walczak (to on przecież przyjmował mnie do pracy). Może dlatego, że zetknęłam się z nim w momencie dużego napięcia, jawi mi się mało wyraźnie jako obraz niedokończony. Kierował całym działem, co oprócz „PZ” oznaczało jego wersje obcojęzyczne: „Polish Western Affairs” i „La Pologne et l’Affaires Occidentales”, a także wydawnictwa zwarte. Zaglądał do nas rzadko, raczej wzywał Władka do siebie, a ten przekazywał później stanowisko „A-wu-wu” pozostałym pracownikom. Kontakt był więc okazjonalny, a szef – mimo jowialnego wyglądu i zdolny do serdecznych gestów – utrzymywał stosowny dystans. Zapamiętałam go przede wszystkim jako całkowicie pogrążonego w pracy. Kilkakrotnie, w jakichś rzadkich sytuacjach mniej oficjalnych, gdy tematem rozmowy stawały się wspólne wszystkim kłopoty dnia codziennego, mogłam zauważyć szczerą troskę, jaką „A-wu-wu” otaczał swoją rodzinę i jego głębokie do niej przywiązanie.

Nieporównanie wyraźniej przypominam sobie osobę dra Suchockiego, który odwiedzał wówczas siedzibę „Przeglądu” – nie wiem, czy kończąc jeszcze jakieś prace redakcyjne, czy też by spotkać się z Władkiem Tomaszewskim. Redaktora poprzedzała legenda kogoś, kto nigdy nie rezygnował z jakości, mistrza cyzelującego z uporem każdy tekst, zawsze zmierzającego do ideału, doprowadzającego do rozpaczy tych, odpowiedzialnych za terminy. Opowieści na temat wynikających stąd zawirowań urozmaicały pierwsze dni mojej obecności w Instytucie. Ale oto teraz widzę go za sprawą pamięci, jak zawsze, trochę nieśmiało, życzliwie uśmiechniętego, zajętego bądź jakimś maszynopisem, z piórem w ręce, bądź też pochłoniętego kolejną rozmową z Władkiem. Często byłam skrępowana tym, że Panom przeszkadzam. Nie zawsze udawało mi się wymyślić wiarygodny powód wymarszu.

Dr Suchocki zwracał się do swojego młodego rozmówcy: „Panie Władysławie”, tonem przyjaznym, ale z wyczuwalną nutką szacunku. To „Władysławie”, z rozciągniętym „a...” i trochę pochylona głowa miały niwelować różnice lat i doświadczenia. Rozmowy dotyczyły zawsze spraw instytucyjnych: nie dość uzasadnionych tez autora „x” lub tematu bardzo ciekawie ujętego przez autora „y”. Niezmiernie rzadko dochodziło do jakiegokolwiek różnicy zdań. Radowało ich, że myślą podobnie, ale mogą się wesprzeć nową argumentacją albo przytoczyć tytuł, który umknął drugiemu. Robili to nie dla uzyskania absurdalnej przewagi, ale po to, by dopełnić obopólnej wiedzy. Myślę, że dr Suchocki przychodził i dlatego, by odczuć radość z faktu, że uczeń pod żadnym względem nie zawiódł oczekiwań i z naddatkiem spełnił pokładane nadzieje. Dodam nieśmiało, że i mnie – nieco później – udało się ucieszyć dra Suchockiego i nawiązać z nim coś na kształt wymiany zdań. Tematem chwilowo wspólnych zainteresowań nie okazały się jednak sprawy związane z rozwojem polskiej myśli zachodniej ani nowo ujawnione szczegóły z historii stosunków polsko-niemieckich, a kłopoty wynikające z desperacko podejmowanych przez nas w tym samym czasie prac budowlanych przy naszych domach. Wspólnym przedmiotem troski był niezbędny przy wykańczaniu czy remoncie dachu, lepek. I tu okazałam się osobą bardziej doświadczoną i mogącą służyć radą. Bogu niech będą dzięki za tę niepowtarzalną okazję umożliwiającą mi moment zaistnienia.

Zanim jednak zaczęłam rozpoznawać autorów, przewijających się przez pomieszczenia Redakcji, oswajałam się z brzmieniem wielkich profesorskich nazwisk unoszących się gdzieś nad naszymi głowami. Ze zrozumiałych powodów najczęściej przywoływaną postacią był Ojciec Założyciel – Zygmunt Wojciechowski, ale często słuchałam także o Zdzisławie Kaczmarczyku, Michale Szanieckim, Karolu Pospieszalskim... Z tym ostatnim dane mi było

jeszcze zetknąć się osobiście, gdy w poszukiwaniu jakichś danych zaglądał do Redakcji. Wbrew swej dramatycznej roli Rachmistrza Pomordowanych, Zmarłych i Zaginionych (to On m.in. przygotowywał dokumentację do Norymbergi), wydawał się człowiekiem pogodnym, przyjaznym, zdolnym nawet do krotochwilnego uśmiechu. Natomiast w zgodzie z nazwiskiem pozostawał w ustawicznym ruchu i zdązał ku kolejnym powinnościom i zamierzeniom.

W tym pierwszym okresie cały ciężar edukowania nowego pracownika Redakcji wziął na siebie Władek. Zaczął powoli, metodą kolejnych przybliżeń, od spraw podstawowych: celów statutowych Instytutu i jego tradycji, ale przede wszystkim od założeń i planów wydawniczych, obiegu materiałów redakcyjnych itp. itd. Warto sobie uświadomić, że były to czasy głęboko „przedkomputerowe”, a więc i składu ręcznego, że ważnymi etapami korekty było na przykład „czytanie na zgodność”, „czytanie na sens” itp. zjawiska, które wymagałyby obecnie szerszych wyjaśnień. Jedno wydaje się bezsporne: ówczesna rola korekty była znacznie większa, a droga maszynopisu – nieporównanie dłuższa i bardziej zawiła. Z przekazów Władka wyłaniała się także podstawowa umowność, związana z traktowaniem „Przeglądu” jako dwumiesięcznika. Naprawdę, nikt nie znał dnia ani godziny. Permanentny niedobór papieru i jakże wątle moce przerobowe drukarni (korzystaliśmy z Drukarni Uniwersyteckiej mieszczącej się w Collegium Maius, przy ul. Fredry, a sporadycznie – z Zakładów Graficznych im. Marcina Kasprzaka przy ul. Zwierzynieckiej) niweczyły wszelkie wysiłki zespołu. Zostawało tylko czekać. Próbowaliśmy zjednać sobie jakoś ową brać drukarską, która mogła w pewnym stopniu kierować ruchem... Okazją były święta, Dni Drukarza, Nowy Rok itp.

W Instytucie formowała się wtedy ekipa, która udawała się do drukarni na okolicznościową biesiadę, złożenie hołdów i życzeń. W żadnym wypadku nie chodziło o dary rzeczowe – pierwszorzędne znaczenie miała nasza obecność. Męczenników sprawy wybieraliśmy rotacyjnie. Wiem o czym mówię, bo po kilku latach wypadło i na mnie. Zdałam ów egzamin bez szwanku na honorze własnym i Instytucji. Władek rycersko odwiózł mnie potem do domu i oddał do rąk własnych mężowi. Ten zrewanżował się Władkowi, odprowadzając go do „Reniusi”. Nasze rodziny były już wówczas zaprzyjaźnione. Mieszkaliśmy wtedy paręset metrów od siebie, a Renia Tomaszewska pracowała w Archiwum Instytutu, pod cennym kierownictwem p. Zbigniewa Kulaka (znał odpowiedzi na wszystkie pytania i zawsze służył Redakcji pomocą), w kamienicy po drugiej stronie Rynku.

Rozziew między planowanym terminem wydania „Przeglądu” a rzeczywistością wiązał się też ze wspomnianą „sprawą papieru”. Corocznie, gdzieś w okolicach półrocza, zaczynaliśmy budować plany i określać zapotrzebowanie na rok następny. Zawsze z marginesem bezpieczeństwa, bo „a nuż obetną?”. Dokładnie określaliśmy klasę, rodzaj i gramaturę. Na ogół kończyło się tak samo: dostawaliśmy mocno opóźniony przydział; papieru było mniej, ale za to innego gatunku. Dostawcy preferowali tzw. biblijny (rodzaj cienkiego pergaminu, nieprzebijającego druku na drugą stronę), na który na próżno czekali wydawcy „Świętego Wojciecha”. Oni natomiast, później już bez zduwienia, stawali się beneficjentami naszych zamówień. No i w końcu zrozumieliśmy. Korzystając z prywatnych kanałów, we własnym zakresie zaczęliśmy ostrożnie dokonywać wymiany...

Ostatnim czynnikiem określającym stopień trudności, z jakimi borykała się Redakcja, ale przecież o najistotniejszym znaczeniu, była cenzura. Tu na pewno żarty się kończyły. Mogę potwierdzić, że i w tej dziedzinie istniały jakieś kontakty. Rola „oswojonego” cenzora polegała na uprzedzaniu nas o randze i powodach ingerencji. W skrajnych przypadkach

autorowi groziło umieszczenie na czarnej liście, związane – na ogół – z zakazem publikacji. Trudno to wszystko oceniać z dzisiejszej perspektywy. Władek podejmował się wówczas negocjacji z autorem, szukając możliwego kompromisu, w myśl zasady: „ratować, ile się da”. Poza jedną, szczególnie bolesnych sytuacji nie pamiętam.

W tym kontekście, muszę przywołać nazwisko ówczesnego kierownika Zakładu Socjologii IZ dra Józefa Koniecznego. Do „Przeglądu” i do Władka przychodził rzadko, najczęściej informując, że ciągle jeszcze pracuje nad interesującym go tematem. Od dłuższego czasu zajmował się problematyką kinematografii niemieckiej, pozostającej na usługach ideologii hitlerowskiej. Kiedy już sądziliśmy, że Autor porzucił temat, dr Konieczny przyniósł nam obszerny artykuł, który czytaliśmy po kolei, z największym zainteresowaniem. Oboje szybko dostrzegliśmy nasuwające się wyraźnie analogie ze znanymi filmami, produkowanymi znacznie dalej na wschód, wystawiającymi inny system totalitarny. Nie dzieliliśmy się szerzej tymi spostrzeżeniami i kierowaliśmy pracę do kolejnych etapów produkcji, z nadzieją, że powołane do tego służby, niealarmowane nazwiskiem Autora, może przejdą „do porządku”. Niestety, kiedy tekst był już złożony i po wszystkich korektach, a na ostatnim wydruku brakowało tylko słynnej pieczętki, poznaliśmy nieoficjalne, ale twarde stanowisko cenzury. Liczba ingerencji, popartych groźnymi pomrukami, przekraczała wszystko, z czym się dotąd zetknęliśmy. Autor miał albo zrezygnować ze znacznej części swych wywodów, albo zgodzić się na zastąpienie własnych sformułowań „gotowcami”, o całkowicie odmiennej wymowie. Byłam w pokoju, gdy Władek, po wszelkich wyjaśnieniach i ostrożnym wyciszeniu sankcji grożących Autorowi, zapytał: „i cóż, panie Józefie? – Jaka jest pana decyzja?”. Usłyszałam jedno słowo, powiedziane, jak zawsze, bardzo spokojnie, ale z determinacją: „rozsypać” (czyli – zniszczyć). Był to w mojej praktyce jedyny wypadek, że Autor, a trzeba tu uwzględnić wszystkie okoliczności, nie poszedł na jakikolwiek kompromis. Nic więc dziwnego, że w mojej pamięci zajmuje miejsce szczególne. Kolejne jego rozprawy chronologicznie odnosiły się już do współczesnych zjawisk zachodzących w RFN...

Wszystkie zasygnalizowane wyżej problemy nie przesłaniały mi jednak tego, co najważniejsze: kontaktu z kadrą Instytutu i pracy z tekstem. W tym pierwszym okresie, a więc jeszcze w Wadze, wspólny pokój pozwalał mi – na ogół biernie – uczestniczyć w rozmowach Władka z jego gośćmi. Jerzy Kozeński i Jerzy Krasuski (późniejszy profesorowie) należeli już wówczas do czołówki naszych rodzimych Autorów. Pojawiali się w Redakcji bardzo wcześnie, ale zawsze osobno. Dopiero później dochodziło do „przypadkowego spotkania”. Byli w podobnym wieku, ich kariery naukowe na tym samym etapie, uprawiali dosyć zbliżone poletka. Pewna rywalizacja byłaby zjawiskiem raczej naturalnym. O temperaturze wzajemnych relacji przesądzały jednak różnice usposobienia i temperamentów. Jerzy Kozeński zachowywał niezmienny dystans wobec wszelkich podjazdów. Zawsze pogodny, w doskonałym wręcz humorze, korzystał z umiejętności błyskotliwej riposty, ale od czasu do czasu, jakimś rzuconym lekko żarciem dobrotliwie podpuszczał ambitnego kolegę. Ten natychmiast wytaczał wszystkie armaty... Po prostu m u s i a ł być lepszy, bardziej przekonujący, głębiej interpretujący fakty... Strasznie się zaciętrzewiał. Władek spokojnie słuchał, delikatnie podpowiadał, wyciszał, przede wszystkim mając na uwadze najważniejsze: otrzymanie – zgodnie z planem – możliwie najciekawszych tekstów.

Wśród osób regularnie odwiedzających Redakcję był także doc. dr hab. Andrzej Kwilecki. I on wprowadzał Władka w postępy swej pracy na długo przedtem, zanim w formie

gotowego maszynopisu znalazła się na redakcyjnym biurku. Gość z zasady mówił cicho, spokojnie, ale z błyskiem w oku i wyrazem twarzy sugerującym obecność fascynującej tajemnicy. Właśnie teraz objawionej jednemu rozmówcy, który na to zasłużył. Tym dialogom zawsze towarzyszyła obopólna radość. Panowie rozumieli się w pół słowa, delektowali zbieżnością wniosków końcowych.

Dla mnie wszakże – po tylu latach – prof. Kwilecki (którego tyle publikacji zdążyłam później przeczytać) nade wszystko pozostanie „Autorem 'od Łemków'”. Oczywiście, za sprawą Władka, który z takim podziwem i tak sugestynie opowiadał mi o owej ryzykownej „obserwacji uczestniczącej”, prowadzonej przez młodego socjologa wśród nieszczęsnych Łemków, przesiedlonych tuż po wojnie gdzieś na Ziemię Odzyskane.

Zdecydowanie niezwykłą osobowością był w Instytucie Restytut Staniewicz. Pojawiał się w Redakcji zaraz po przyjeździe do pracy, nie wcześniej jednak niż w godzinach południowych. Nierzadko zajeżdżał wówczas taksówką, na którą często „brakowało mu drobnych” (dobrzy ludzie ratowali w potrzebie), potem dostojnym krokiem udawał się w obchód, na ogół zahaczający o Redakcję. Trudno nie pamiętać, że palił fajkę, z tytoniem raczej wykluczającym dłuższy kontakt z owym palaczem. Jego rozmówcy z konieczności się zmieniali, stąd też nierzadko na krótko zastępowałam Władka. Pan Staniewicz (imię Restytut nadano mu dla upamiętnienia odzyskania przez Polskę niepodległości) był człowiekiem niezmiernie szerokiej wiedzy – w Instytucie specjalizował się w problematyce mniejszości niemieckiej w Polsce, ale jego zainteresowania w dużym stopniu odnosiły się też do Września 1939 r. Wiedział wszystko, co dotyczyło polskich sił zbrojnych. Kiedyś, podczas wycieczki Instytutu w Góry Świętokrzyskie, opowiadał mi o przebiegu walk z udziałem jakiejś kompanii. Schodziliśmy ze Świętego Krzyża do Słupii Nowej. Zapamiętałam tę relację przekazywaną z dokładnością do pojedynczego żołnierza i pojedynczego krzaczka. Problem sprowadzał się do tego, że cała ta rozległa wiedza była prywatną sprawą p. Restytuta, który niechętnie utrzymywał cokolwiek na piśmie. Zwierzchnikom opadały ręce... Wreszcie sytuacja dojrzała. Rozprawa na łamach „Przeglądu” mogła przesądzić o „być albo nie być” p. Staniewicza. Władek przystąpił do egzekwowania zamówionego artykułu. Zmagania trwały bez końca – ostatecznie oboje wydzielaliśmy Autorowi dosłownie strona po stronie. Ale warto było. Jakiś czas później zostaliśmy przez wdzięcznego Autora zaproszeni na okolicznościową kolację do „Merkurego”. Szczodry Autor zaczął od przepiórek, a potem było już tylko podbijanie bębna. Opis biesiady wymagałby innych łamów i obfitego materiału zdjęciowego. Zgodnie z naszymi przewidywaniami znów komuś „zabrakło drobnych”. Czuliśmy się potem z Władkiem jak kombatanci połączeni wspomnieniem heroicznych zmagania, z których jednak uszliśmy cało...

Częstym gościem w Redakcji – jeszcze wówczas w Wadze – był Tadeusz Wróblewski. Pamiętałam go dobrze z Uczelni – studiował slawistykę dwa czy trzy lata przede mną. Na ogół widywałam go wówczas w towarzystwie brata bliźniaka. Ich uderzające podobieństwo skutkowało mnogością opowiadań o tym, jak może ono skomplikować, albo – przeciwnie – ułatwić życie. W IZ specjalizował się w problematyce słowiańskiej. Znał języki, w tym bardzo dobrze francuski, należał do tych, co czytają wszystko i ciągle. Pojawienie się Tadeusza w pokoju „Przeglądu” – poza sprawami ściśle zawodowymi – wiązało się zawsze z wrażeniem ruchu i zapowiadało niezwykle wydarzenia. Przede wszystkim nasz rozmówca był zawsze znakomicie poinformowany. Wynikało to zapewne nie tyle z dostępu do źródeł, ale z błyskotliwej umiejętności kojarzenia i w nadzwyczajny sposób nabierało cech sensacji.

Dla mnie Tadeusz był kimś w rodzaju „gońca królewskiego”, który skutecznie przeciwdziałał każdej groźbie monotonii. To on między innymi (też jeszcze „na dole”) obwieścił nie lada wydarzenie: do Zakładu Badania Zbrodni Hitlerowskich (pracowników zwaliśmy cieżutko „zbrodniarzami”) przybywała Nowa. Z opisu Tadzia wyłaniała się śliczna, bystra dziewczyna, świeża absolwentka Wydziału Historii. Pamiętam też, jak pierwszych entuzjastów Tadzio przestrzegał: „Małe szanse – ona ma chłopaka po Politechnice, a on z kolei jeździ na skuterze”. Ta ostatnia wiadomość robiła wówczas niebywałe wrażenie. Przybycie Majki, wtedy jeszcze Muszyńskiej, późniejszej profesor Marii Rutowskiej, zapowiadało lub wpisywało się w czytelny zamysł „odmłodzenia” Instytutu. Listę pracowników poszerzyły wtedy takie nazwiska, jak Zbigniew Mazur, Marek Baumgart (dość wcześnie przeniósł się do Szczecina), Krystyna Sikorska (potem Dzięgielewska), Zbigniew Jaśkiewicz.

Pierwszym reprezentantem „nowej fali” w Instytucie był obecny prof. Zbigniew Mazur. Zaczynał jeszcze „na górze”, gdzie w oczekiwaniu na lepszy przydział wspomagał Korektę. Z pewnością ujmował uprzejmym spokojem i starannym wypełnianiem przypisanych mu tymczasowo obowiązków, ja natomiast zapamiętałam go głównie – co raczej zaskakiwało w odniesieniu do „nowego” – jako osobę często w ogólnych rozmowach zgłaszającą zdanie odrębne. Powiało jakąś świeżością i przesunięciem akcentów z tego „co było”, na to „co jest”, ale przede wszystkim na to, „co będzie”.

W tak zwanym międzyczasie na „górze” nastąpiły zmiany. Dotyczyły głównie składu osobowego. Pierwszy – jak się zdaje – opuścił Korektę p. Witkowski – człowiek o nieprawdopodobnej pamięci. Miał w głowie wszystkie słowniki. Pracował w jakimś ponurym zaciętrzewieniu, tropiąc ewentualne potknięcia poprzedników. Nie pamiętam, kiedy odszedł z „Przeglądu” pan Au. Był dla nas Ostatnim Mohikaninem przedwojennego świata, ucieleśnieniem naturalnej elegancji, człowiekiem rozległej wiedzy i kultury. Był również przykładem szczególnej – niezwiązanej ze statutem – działalności Instytutu, której mogliśmy się tylko domyślać, natrafiając wśród pracowników na takie nazwiska, jak – powiedzmy – Krystyna Narutowicz, Restytut Staniewicz... Zatrudniani na różnorakich etatach, trochę wycofani z pierwszego planu, wszyscy ci ludzie mieli bezpiecznie przetrwać czas niebezpieczny.

Tymczasem zapowiedź istotnych zmian odnosiła się do naszej lokalizacji. Opuszczaliśmy Wagę i przenosiliśmy się do „domków budniczych”. Rozstając się z Wagą, chciałabym jednak zatrzymać się jeszcze przy ludziach i sprawach, którzy w mojej pamięci są z nią nierozłącznie związani. Bezwzględnie na plan pierwszy wysuwa się tu (co z każdego punktu widzenia jest po prostu oczywiste) kobieta-instytucja, p. Halina Całkowa. To przez jej pokój wchodziło się dotąd do Redakcji „Przeglądu”. Wydaje mi się, że była związana z Instytutem „od zawsze”, tj. od czasów warszawskich. Na podstawie jej fragmentarycznych wypowiedzi odniosłam wrażenie, że „złotym okresem” instytutowym i dla Niej osobiście, i dla pozostałych osób funkcjonujących w orbicie firmy, był „czas Osiecznej”. Tym bardziej cieszę się, że tamten okres został ocalony od zapomnienia i stał się przedmiotem odrębnego opisu.

O ile dobrze pamiętam, pani Halina oficjalnie pełniła funkcję intendenta. W rzeczywistości sprawowała niekwestionowaną (na szczęście) cywilną władzę absolutną. Mocno zaangażowana w przedwojenne harcerstwo, wojenna wdowa po młodym działaczu społecznym i ekonomście, rozstrzelanym w Warszawie w pierwszych dniach powstania, matka odwieczającej nas często, bliskiej nam pokoleniowo Marylki (obiec panie mieszkały w sąsied-

nich domkach budniczych), postawiła sobie za cel stworzenie z Instytutu Zachodniego domu – wszystkim, którzy swoje utracili, którzy potrzebowali wspólnych posiłków, znajomych twarzy, poczucia swojskości, bezpieczeństwa i od czasu do czasu oddechu „z przytupem”. Prywatnie przypisuję Jej następujące rozumowanie: „Jeżeli naprawdę poznasz swój kraj – żaden inny cię nie uwiedzie”. Ten kanon ściśle określonych potrzeb pani Całkowa realizowała z niewyobrażalną energią i skutecznością. Dbając o zewnętrzny wizerunek instytucji, organizowała Walne Zgromadzenia (o których potem z podziwem opowiadano jak Polska długa i szeroka), doroczne bale sylwestrowe w pałacu Działyńskich miały przypominać te z minionych czasów, zarządzała cieszącą się bardzo dobrą sławą stołówką, gromadzącą zarówno pracowników IZ, jak i godne nazwiska z okolicznych instytucji, ale nade wszystko wymyśliła i realizowała słynne doroczne wycieczki Instytutu Zachodniego po ziemi ojczyściej (wyczekiwane, przygotowywane, urozmaicane specjalnymi znaleziskami). Osobiście traktuje je jako bardzo cenną część tego dobra, w które wyposażył mnie Instytut na samodzielne życie. Gdyby nie p. Całkowa, zapewne nigdy w pewien pogodny dzień nie wyglądałabym ze wzgórz Przemysła zarysów Lwowa rysujących się gdzieś na horyzoncie albo tylko wyimaginowanych; nie kulilibym się w trwodze w późnowieczornej scenerii zamkowych ruin Krzysztopora, gdy spłoszone przez poznańskich przybyszów wrony stadnie odlatywały w noc, nie wzruszałabym się prostotą i niepowtarzalną aurą drewnianego kościółka w Dębnie, i tak dalej, i tak dalej...

Pani Halina wiąże się w moich wspomnieniach z jeszcze jedną dziedziną aktywności. Dbała o godny i zauważalny udział Instytutu w częstych – niestety – i bolesnych „ostatnich pożegnaniach”. Lista pracowników IZ i osób z nim związanych, które w tej „mojej” dekadzie odeszły do lepszego świata, jest zastanawiająca i nie ogranicza się wcale do „dostojnych starców”. Pani Halina dbała, by w owych smutnych okolicznościach wyraziście reprezentowana była instytutowa młodzież, by zostali świadkowie, których wspomnienia zamienią się w opowieści, a te – oby trwały jak najdłużej...

Obraz funkcjonowania Wydawnictwa IZ byłby niepełny bez przywołania postaci obu naszych magazynierów: p. Małeckiego i p. Rotha, zwanego z poznańska Wują Rothem. Pan Małecki przeżywa przez moje wspomnienia, jak zawsze, w pośpiechu, przeskakując po kilka stopni, na ogół z jakimś tomami pod pachą, liczący co przyszło, a co wychodzi, na ogół z przeproszającym, lecz życzliwym uśmiechem, i zawsze z resztą tłącego się papierosa. „Wuja” Roth, władza najwyższa Magazynu, ale też człowiek-orkiestra, zawsze ratujący z najróżniejszych opresji, działał wg zasady: porządek musi być, zachowywał powagę stosowną do tego przesłania i dystans zaprawiony nieufnością. Dotyczyła ona głównie „tych młodych”, z którymi „nigdy nic nie wiadomo”. Mówił mało i tylko z wybranymi. Poprawę naszych relacji przyniósł udział w instytutowych wycieczkach, lata starań o złagodzenie wstępnych opinii, no i pewnie rekomendacja Władka, którego Wuję Roth po prostu uwielbiał. Doszło do tego, że my z „Przeglądu” pod koniec lata byliśmy każdorazowo zapraszani przez Wuję (w tym wypadku wyprawom przewodniczyła p. Janka – zob. niżej) do Jego ogrodu w Szczepankowie na wielki zbiór mirabelek, z których potem powstawały nieprzebrane zapasy konfitur. Małe, żółte kuleczki stały się symbolem naszej przyjaźni. Nikomu z nas nie przyszło wówczas do głowy, że po latach, w zgoła innych okolicznościach, mirabelki jako takie będą argumentem w sporach politycznych...

Tak oto konfitury z udziałem pana Rotha doprowadziły nas do „Przeglądowych” spraw bytowych. Wszyscy wiedzą: czasy były trudne, a po roku 1970 robiły się coraz trudniejsze.

Procesowi temu towarzyszyły zjawiska równoległe: utrwałała się nasza zdolność do gry zespołowej i wspólnego niwelowania kłopotów, a także kiełkowało takie sportowe zacięcie, aby się nie dać, żyć, jak gdyby nigdy nic. Polem wszelkich możliwości były każdorazowo święta. Stało się zasadą, że choćby nie wiem co, odbędą się zgodnie z tradycją. Jak Boże Narodzenie, to ryby, jak Wielkanoc to szynka, mięsa i kiełbasy. W tej pierwszej sprawie nie do przecenienia zasługi przypadły delikatnej, stworzonej do luksusowego życia p. Monice. Jej mąż pełnił ważną funkcję w zarządzie PGR-ów i tę wielką pulę ryb przedniego gatunku, przeznaczoną dla pracowników tychże gospodarstw, corocznie jakoś cudownie powiększał, stosownie do potrzeb Instytutowych. Czekaliśmy na te ryby godzinami, przy jakichś wejściach od tyłu, na jakichś podłych podwórkach, w karnych kolejkach, ale i z nadzieją, że wreszcie przyjadą, że starczy dla wszystkich, że i tym razem się uda. „Po Instytucie” nigdy już nie jadłam takich cudownych karp. I pora na autoreklamę. Informuje, że krótko, bo krótko, ale przecież byłam wybranym przez zespół Prezesem Spółdzielni „Wieprzek”, powołanej do jednego tylko celu – zakupienia tytułowego żywca, zwerbowania odpowiedniej klasy rzeźnika i zaopatrzenia w satysfakcjonujące racje świąteczne pracowników Wydawnictwa. Obowiązywał już wówczas bezwzględny zakaz podobnych zakupów, więc zadanie nie było najłatwiejsze. Mężem opatrnościowym okazał się murarz, pracujący przy naszym domu, mieszkający w jakiejś wsi pod Kołem. Wziął na siebie całą sprawę, łącznie ze świadectwem sanitarnym i wysoką jakością wyrobów, nie chciał się tylko podjąć transportu. Tak oto Prezes Spółdzielni wraz z małżonkiem (tylko my mieliśmy wówczas samochód) przewieźli któreś nocy wysłużonym trabantem ponad sto kilogramów mięsa wieprzowego i jego przetworów. Wdzięczni spółdzielcy podziękowali mi na piśmie (przechowywane w zbiorach prywatnych).

Takie to były Polaków zabawy w owe lata.

Po przeprowadzce do domków budniczych przybyło nam przestrzeni, a ubyło wędrówek, bo wszystkie nasze agendy mieściły się teraz na jednej kondygnacji. Tylko dwa pokoje na lewo od klatki schodowej zajmował na „naszym pierwszym piętrze” Zakład Badania Zbrodni Hitlerowskich, dowodzony wówczas przez dra Edwarda Serwańskiego, z p. Barbarą Bojarską i wspomnianą już „nową” – Majką Muszyńską. Co do Majki – przepaszam, teraz prof. Rutowskiej, wszystkie zapowiedzi Tadeusza znalazły potwierdzenie. Zwracała uwagę urodą, wdziękiem i dużym wyczuciem stylu, panowie zawsze „pozostawali pod wrażeniem”. Z jej napomknięć można było wnioskować o mocnych związkach łączących ją z całą rozbudowaną rodziną, która stanowiła jej twardzę. Była serdeczna i skłonna do śmiechu, ale utrzymująca dystans. Należała do osób mocno zaangażowanych w sprawy zawodowe i świadomych swoich celów. Spotkanie z Majką – po przeniesieniu do „domków” – szybko rozwinęło się w bliskie koleżeństwo, a z czasem przyjaźń, którą mimo upływających dziesięcioleci utrzymujemy także obecnie. Ciągle jeszcze wystarcza nam instytutowych wspomnień, by nasze spotkania urozmaicać śmiechem.

Już „po Majce”, a więc po przeprowadzce do domków budniczych, pojawiła się w moim pokoju inna młoda autorka. Mówiła cicho, ale rzeczowo, słuchała bardzo uważnie, pamiętam skupione spojrzenie niezwykle ciemnych oczu. Nazywała się Anna Wolff-Powęska... W najlepszej wierze, czerpiąc już z moich dotychczasowych instytutowych doświadczeń, utrwalonych naukami na różnych kursach i szkoleniach, pozwalałam sobie na pewne sugestie dotyczące konstrukcji proponowanego artykułu... No cóż, późniejsza pani profesor, dyrektor Instytutu, wielokrotnie nagradzana za swoje publikacje, okazała się być osobą wielkoduszną.

Nasze przyjazne kontakty przetrwały wszystkie moje zmiany pracy i adresów. I mam nadzieję, że tak pozostanie.

Mój pierwszy osobny, wygodny i zaciszny pokój w „domkach” zamieniłam potem na nowe lokum, wyodrębnione naprzeciw schodów. Duże pomieszczenie na końcu lewego skrzydła zajmowała nasza Korekta. Reprezentacyjny, centralnie położony gabinet, nareszcie pozostający w jakiejś proporcji do rangi szefa, zajmował Włodek Tomaszewski (doc. dr Walczak przeszedł do Zakładu Historii). Prawe skrzydło – to była domena wydawnictw zwartych i obu periodyków obcojęzycznych. Redakcja, z której pamiętam p. Teresę Otto i p. Wandę Dzwonkowską (potem tu także nastąpiły zmiany), zarządzała nad wyraz energicznie red. Maria Morkowska (z czasem po prostu „Myszka”). Była osobą niezwykle ruchliwą i niedającą się nie zauważyć. W żadnym wypadku nie mogę jej pominąć, bo też jej skuteczność i poziom energii wyrastał znacznie ponad średnią krajową. Mimo że między „Przeglądem” a „zwartymi” dochodziło do zrozumiałej rywalizacji (polem nieustających zmagani była walka o papier i o kolejność wykonywania zamówień przez drukarnię), oba zespoły łączyło coś na kształt solidarności (słowo to nie było jeszcze w powszechnym użyciu) w nieszczęściu, a przynajmniej zrozumienie dla jego ewentualnych skutków. Myszka była niewysoką, drobną brunetką w średnim wieku, o bardzo czarnych oczach. Cechowała ją niezwykła spostrzegawczość. Nade wszystko jednak los obdarzył ją stałą gotowością wątplenia i potrzebą nieustającej weryfikacji. Obojętnie, jaki był temat rozmowy, jaka ranga twierdzeń, gdy dana osoba rzucała na szalę główny argument i przechodziła do wniosków końcowych, rozlegało się charakterystyczne: „zahraz, zahraz” Myszkki, a zaczynało rozkładanie problemu na czynniki pierwsze. Zapewne dlatego i teraz nie jestem wolna od niepokoju, czy na pewno wszystko w mojej relacji dałoby się potwierdzić materiałami dowodowymi.

Od początku z zespołem naszej korekty łączyły mnie najściślejsze kontakty, wynikające choćby z zakresu obowiązków... Z czasem, utrwały się także oczywiste nici sympatii, a nawet swoistego „powinowactwa”, mające źródła w tradycji, upodobaniach, niektórych wątkach biografii itp. Obie panie: Magdalena Staszewska i Monika Dziarnowska, reprezentowały generacje przedwojenne, ale dzieliła je znaczna różnica wieku. Pani Madzia – poprzez osobę swojego nieżyjącego męża (jeszcze jedna wojenna wdowa) związana była ze środowiskiem uniwersyteckim Poznania, ale wojnę – o ile dobrze kojarzę – przeżyła w Warszawie. O przeszłości mówiła b. ogólnie i ostrożnie, generalnie wydawała się osobą raczej nieufną (w tamtych czasach było to dość powszechne). Chętniej eksponowała swój udział w bieżącym życiu towarzyskim, któremu blasku przydawały pierwszoplanowe nazwiska profesorskie. Ciepłą stronę swej osobowości ujawniała dosyć rzadko, przeważnie w kontekście opowiadań o swoim jedynym, dorosłym już, synu. A przecież, wspominając panią Staszewską, lokuję ją bez wahania wśród osób zasługujących na pamięć serdeczną. Była bardzo dzielną osobą, lekceważącą narastające problemy zdrowotne, nigdy się nie skarżyła i nie wymagała żadnych względów wynikających z przynależności do określonej grupy wiekowej. Była kompetentnym korektorem o bardzo wyrobionej pamięci wzrokowej. Trochę trwało, zanim zaakceptowała moją obecność w Redakcji, ale gdy to nastąpiło, p. Madzia dała się poznać jako osoba trwale życzliwa, o niespodziewanym poczuciu humoru. Będę ją pamiętała właśnie w takim kontekście. Niezawinione przestoje w naszej pracy wypełniałyśmy na różne, także „nieredakcyjne” sposoby. Kiedyś, niezastąpiona p. Janka dokonywała na p. Madzi w roli manekina jakichś poprawek krawieckich. Była to faza

poprzedzająca prawidłowe wszycie rękawa do jej sukienki i pani Madzia pozostała tylko w jednym. Ten moment wybrał ówczesny dyrektor Instytutu (prof. Trzeciakowski) na składanie życzeń z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych, i wraz z godną asystą wkroczył na redakcyjne pokoje. Trzeba było widzieć p. Madzię, jak niespieszona, wyciągała to gołe ramię w kierunku Dyrektora, mówiąc z godnością i wdziękiem: „dziękuję i odwzajemniam”.

Pani Monika Dziarmowska okazała się dokładnie taka, jak podczas pierwszego spotkania „na górze”. Wszystko w niej było harmonijne, cieszyło oko i w naturalny sposób łagodziło obyczaje. To, jakim hołdowała gustom, jakie zachowania budziły jej protest, rzutowało zawsze na atmosferę otoczenia. Radosne reakcje Władka wywoływały na przykład moje sprawozdania dotyczące aktualnych lektur, którymi się dzieliłam podczas przerw śniadaniowych. Gdy natrafiałam na wątki, które mogłyby uchodzić za drastyczne, ze względu na panią Monikę posługiwałam się taką trochę „zeufemizowaną” formą narracji. Władek zawsze wyłapywał te moje starania i chętnie „sprzedawał” dalej wciąż nowym słuchaczom.

Koniecznym należy dodać, że niezależnie od surowych kryteriów estetycznych, pani Monika była osobą bardzo otwartą, nigdy nieutyskującą na „dzisiejszą młodzież”, ciekawą zarówno wszelkich aktualności, jak i prognoz na przyszłość. W późniejszych czasach wykazała zrozumienie dla mojej potrzeby zmian i wyglądu tego, „co za zakrętem”, a nawet sprzyjała moim decyzjom.

O powodach zakłóceń w realizacji naszych planów wydawniczych, przestojach i zadyszkach już wspominałam. Było oczywiste, że opóźnienia w napływie tekstów wykorzystywałam przede wszystkim zasilając Korektę, za czym zresztą przepadałam (czytało się głośno, parami, na zmianę). Niedające się jednak załatać przestoje wypełniano na różne sposoby. Najczęściej przybierały one postać niekończących się dyskusji, których zaczynem były albo opracowywane właśnie teksty, albo zaliczone ostatnio lektury, które okazały się naturalnym spoiwem wszelkich spotkań. Na ogół każda książka zakwalifikowana jako godna zainteresowania, krążyła wśród nas obiegiem. Jej ruch pozostawał pod stałą kontrolą tych oczekujących, aż wreszcie wszyscy byliśmy gotowi i zaczynał się czas budowania zbiorowej recenzji. Tytułem, który zawsze będzie mi się kojarzył z „Przeglądem” i tym pokojem „na lewo”, z wrażeniem prawie rodzinnej wspólnoty, książką, która skutecznie odrywała nas od rzeczywistości, był *Koniec świata szwoleżerów* Mariana Brandysa. Podczas mojej niedawnej kolejnej przeprowadzki, przygotowując swój księgozbiór do drogi, natknęłam się na mocno „wyczytane” tomy. Wystarczyło dotknąć jednego z nich i... wszystko wróciło – jasny pokój z dwoma biurkami, kaloryfer przy wejściu, o który lubił opierać się Władek, p. Monika, tak ładnie ożywiona, z determinacją włączająca się do dyskusji, p. Madzia dorzucająca własne argumenty, z których przynajmniej jeden musiał zaprzeczać wcześniejszym opiniom, i wreszcie p. Janka, oceniająca sprawę z zupełnie odmiennych pozycji.

Pani Janka Szymańska była późniejszym nabytkiem Instytutu, pamiętam Ją wyłącznie z domków budniczych. Na instytutowym gruncie wydawała się bytem nieco odrębnym. Przede wszystkim Jej rodzinne korzenie sięgały gdzieś kresów wschodnich. Należała do pokolenia, które żegnało się z dzieciństwem w przededniu wojny. Późniejsze wydarzenia wspominała rzadko i trochę niespójnie. Przypominam sobie rwane miniopowieści o bracie, który utknął w kopalniach Donbasu, o tym, jak obawiając się rzezi, ukrywano dzieci w ogrodowych zaroślach, o siostrze, która jakoś znalazła się w Belgii itp. Jej bieżących kłopotów można się było tylko domyślać. Wypowiedzi p. Janki na inne tematy wydawały się

w naszym gronie raczej osobliwe, dziś przypisano by je może do pojęcia poprawności politycznej. A mimo to stała się trwałym elementem zespołu. Stojąca mocno na ziemi, dysponująca imponującym zasobem tzw. wiadomości praktycznych, doskonale znająca pracę korekty – przygotowywana do zawodu w warunkach prasy codziennej – umiała wykorzystać do końca każdą sekundę. Bardzo ją lubiłam i nasze kontakty przekraczały niekiedy ramy ściśle zawodowe: od czasu do czasu pani Janka dotrzymywała nam towarzystwa w jakichś wycieczkach rodzinnych. Cechowała ją ujmująca ciekawość świata i niespożyta pomysłowość w pokonywaniu codziennych kłopotów.

Było bardzo ciepło, bardzo rodzinnie i bardzo bezpiecznie...

Nastąpił wszakże czas, że to wszystko przestało wystarczać, ba, zaczęło uwierać. Nie umiem określić, kiedy dotarła do mnie myśl, że także gdzie indziej toczy się jakieś życie, warte mojego w nim udziału, że tak bardzo wrosłam w redakcyjno-instytutowe kolciny, że nie będę już umiała postawić żadnego samodzielnego kroku, a zatem przyszedł czas na zmiany. Jeżeli nie teraz, to już nigdy „nie wybiję się na niepodległość” – zostanę z „Przeglądem” na zawsze. Każdy powód mógł tylko ułatwić decyzję. Nie miałam żadnych konkretnych planów, żadnego punktu zaczepienia. A jednak 31 stycznia 1977 r. rozstałam się z Redakcją, z Instytutem, z pokojem na piętrze i tymi wszystkimi ludźmi, którzy z wielu powodów, w czasie zawodowego dorastania stali mi się bardzo bliscy. Potem w moim życiu nastąpiło gwałtowne przyspieszenie, czyli sześć lat w Wydziale Prasowym Międzynarodowych Targów Poznańskich, gdzie spotkałam innych ciekawych ludzi, nowe sprawy, nowe możliwości rozwoju, ale i szanse wykorzystania wielu nauk pobranych w czasach „Przeglądu”. Ale to już zupełnie inna historia.

Moje instytutowe kontakty się rozluźniły, a drogi z czasem rozeszły. Praca w Zarządzie Targów z trudem pozwalała złapać oddech. Były jeszcze jakieś okolicznościowe spotkania, jakaś uroczysta wizyta całej Redakcji w naszym domu „na Bajkowym”... Potem zaczęły się moje długie podróże, a potem, podczas któregoś z powrotów do Poznania, byłam na pogrzebie Władka. Miał pięćdziesiąt lat, gdy jego serce po prostu się zatrzymało.

W tym miejscu chciałabym jeszcze dodać kilka słów o moim szefie – których o nim nie powiedziano i nie napisano. Chęć tylko, aby i On miał swój udział w jubileuszu „Przeglądu”. Władek był wrażliwym, wybitnie uzdolnionym człowiekiem, którego los obdarzył znakomitą punktem startu. A potem wydarzyło się nieszczęście (był uczestnikiem wypadku na Jeziorze Kórnickim – utopiło się wówczas kilku jego przyjaciół), które – jak sądzę – „przetęrało” Go na resztę życia. Miał świetne pióro, ale pisał mało i niechętnie (raczej tylko „do szuflady”) – wolał inspirować innych. Umiał i lubił słuchać. Należał to tych miłośników książek, co to czytają rano, wieczór, we dnie, w nocy. Łatwo Go było zranić, ale nie czuł potrzeby rewanżu. Mając nieprzeciętne możliwości – wiele walk oddawał walkowerem. Brał wszystko na siebie i tylko coraz rzadziej śmiał się razem z nami. „Przegląd” zawdzięcza mu wiele...

Wracając do „Przeglądu”. Oczywiście, były to „moje uniwersytety”. Sama tylko uważna lektura wszystkich tekstów, nad którymi pracowałam, stała koniecznością sięgania do źródeł, potrzeba ciągłej weryfikacji, osvajanie się z zasadą bezwzględnego uszanowania nadrzędnych uprawnień Autora – wszystko to każdego dnia dopisywało mi nowe aktywa. Obcowanie z gronem naszych czcigodnych autorów, ale także z bojowym narybkiem skutkowało pozostawaniem w aktualnym nurcie wydarzeń. Zdążyłam też – z aprobatą Władka – ukończyć roczny kurs dla redaktorów technicznych w Warszawie, co później dawało mi

przynajmniej równe szanse w dyskusjach z drukarzami, jako wolny słuchacz mogłam uczęszczać na niektóre seminaria prof. Pajewskiego, sama (też z inspiracji Władka) zajęłam się działalnością przedwojennego Instytutu Zachodniosłowińskiego w Poznaniu, którą potem opisałam w „Przeglądzie”, od czasu do czasu sporządzałam jakieś notki, recenzje itp.

Bardzo pouczającym zajęciem było uczestniczenie w posiedzeniach Kolegium Redakcyjnego, któremu przewodniczył wówczas prof. Gerard Labuda, niegdyś także dyrektor Instytutu. Byłam protokolantem, a uczestnikami – ważne postaci ze świata polskiej humanistyki, dla których owe spotkania w Poznaniu były okazją do wystąpień nie zawsze uwzględniających ówczesne realia, pozostających często w sferze pobożnych życzeń, niekiedy chaotyczne i mające luźny związek z profilem „Przeglądu”. Wywoływały zatroskanie red. Walczaka, a później Władka, moje rozpaczliwe poszukiwanie porządkującego wspólnego mianownika i cierpliwe milczenie Przewodniczącego. Kiedy głos ostatniego mówcy zamierał, Profesor nagle się ożywiał i dokonywał cudownej rekapitulacji. Wszystko stawało się oczywiste i znajdowało swoje miejsce. Ziarna uwzględniano i przygotowywano im glebę, niezauważone plewy obumierały. Pozostawało mi tylko możliwie skrupulatnie zmierzać wytyczonym tropem. Posiedzenie było skończone.

Pamiętając o wymogach samodyscypliny, także zmierzam ku zakończeniu. Korzystając wszakże z jubileuszowych okoliczności, chciałabym i ja złożyć „Przeglądowi” życzenia. Niech nadal hołubi czytelników reprezentujących różne opcje i zainteresowania, skłaniając do refleksji i dialogu. Niech odsłania to, co nie zawsze na pierwszy rzut oka widoczne. Niech zaspokaja ciekawość tych „już wtajemniczonych”. Po prostu – niech On i Jego Redakcja mają się dobrze!

MAŁGORZATA WALLER

MÓJ DRUGI DOM

Instytut Zachodni stał się moim drugim domem na 35 lat (1957-1992). Kto przychodził do Instytutu, a sprawdził się zawodowo, koleżeńsko i chciał pozostać, mógł być pewien, że doczeka tu emerytury. Zastawał ludzi znających się od kilku, kilkunastu lat, tworzących atmosferę życzliwości i serdeczności. Nie było żadnej wrogości ani zagrożenia, dlatego wchodziło się do budynku przy ul. Chełmońskiego jak do bardzo gościnnego domu. Nikt nie czuł się obco, był przedstawiany w każdym zakładzie przez dyrektora administracyjnego dra Michała Pollaka. Potem, niestety, wszystko się zmieniło, gdy stara kadra instytutowa z różnych powodów, także politycznych, powoli topniała. W Dziale Wydawniczym duch ten pozostał do końca kierowania nim przez redaktora naczelnego Władysława Tomaszewskiego, do 1986 r.

Zaczęłam pracę, gdy Instytut miał swoją pierwszą siedzibę na II i III piętrze dużej kamienicy przy ul. Chełmońskiego 1 na poznańskim Łazarzu. Pracownicy byli rozmieszczeni w mniejszych lub większych pokojach razem ze zbiorami bibliotecznymi, na które nie wygospodarowano już osobnego pomieszczenia. Trafiłam pod skrzydła pana Mariana Pachuckiego, wytrawnego redaktora z Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha. Budził we